

Na cztery łapy

Zacznę od ubiegłorocznej rocznicy. Migawka telewizyjna, 4 czerwca 2018 roku, młoda kobieta, zapewne posłanka, zapytana w kularach Sejmu, co się stało 4 czerwca 1989 roku, rzuciła do kamery bez chwili namysłu: „To dzień, w którym komuna spadła na cztery łapy”. Mimo całej kuriozalności, nie lekceważyłbym tej wypowiedzi, bowiem to parosekundowe ujęcie dotyka do żywego bolesnych punktów dzisiejszego świata i naszej w nim egzystencji. Czego możemy się z tych paru słów dowiedzieć o nas i rzeczywistości, w której żyjemy? Po pierwsze tego, że przeszłe wydarzenia *pisze się* teraz, a zatem, że wielkiej uwagi nam trzeba i namysłu, gdy *dzisiaj* mówimy o tym, co wydarzyło się trzydzieści lat temu, bowiem przeszłe fakty ulegają wciąż dekrecji i ponownej kreacji. Nie doświadczywszy osobiście, a przynajmniej nie w sposób świadomy, dnia wyborów 4 czerwca 1989 roku, owa młoda osoba zaprezentowała nam obraz owego wydarzenia wyprodukowany przez pewną szkołę modelowania politycznej kariery, opartą na zerojedynkowej, upraszczającej wizji świata. Stąd nauka druga, powinniśmy przedstawiać ów dzień w przeciwieństwie do tych, którzy narzucają jego uogólniające i wysoce zideologizowane odczytanie, właśnie jako doświadczenie jednostkowe, takie, jakiego doznaje pojedynczy ludzki podmiot, i które to doznanie zmienia radykalnie nie tylko jego życie, ale całą rzeczywistość. Skoro tak, to – po trzecie – trzeba zapamiętać ów dzień jako zwycięstwo dzielnej jednostki nad postawą wątpliwego w swą skuteczność i siłę, może nawet lękliwego w gruncie rzeczy tłumu, do którego przecież sama należała. Przed oczami wciąż mam, kto wie, czy nie najsłynniejszy plakat polityczny XX wieku, który młody artysta Tomasz Sarnecki sporządził na potrzeby wyborów: samotny Gary Cooper, ostatni sprawiedliwy, zmierzający do pojedynku, w którym siły były mocno nierówne. A skoro mowa o sferze wizerunków, dobrze utrwaliły się w pamięci zdjęcia z Lechem Wałęsą, jakie kandydaci opozycyjni do Sejmu i Senatu traktowali jako plakaty działające, nie tak jak dzisiaj, jedynie na rzecz samego kandydata, ale jako manifestacja niezależnej, zbiorowej siły politycznej, w której samo nazwisko znaczyło mniej niż idea wolnej, obywatelskiej działalności.

Pamiętam więc to niezwykle wrażenie podwójnego zwycięstwa: nad silniejszym adwersarzem, którego moc struchlała

wobec – to drugie zwycięstwo – jednostki, która pokonała swój strach, niezachęcenie, znużenie. Pamiętam niezwykle ożywienie, jakie zapanowało w najbliższym otoczeniu: sąsiedzi rozprowadzający cegiełki na rzecz listy Solidarności, nawoływanie do uczestnictwa w wyborach, które nie miało cech perswazji, nie operowało – jak obecnie – wynikami sondaży, kalkulacją szans, lecz odnosiło się do sfery czystego moralnego zobowiązania. Niezależnie od tego, że wynik wyborów sejmowych był procentowo ustalony umowami Okrągłego Stołu, to sam fakt, że oto wybory nie były jedynie czczą formalnością, nie były kontrasygnatą na liście sporządzonej przez władzę, lecz, że były *prawdziwymi* wyborami, a w zakresie Senatu były całkowicie wolne i otwarte, sprawiał, że to, co zwano „obowiązkiem obywatelskim”, stało się obywatelską cnotą, ale także źródłem przyjemności czerpanej z faktu bycia obywatelem. Poprzednio obywatelstwo było jedynie zgodą na, mniej lub bardziej posłuszne, legitymizowanie rządzących; 4 czerwca odkryliśmy satysfakcję płynącą z faktu bycia obywatelem. Zdaliśmy sobie sprawę że chociaż władza zawsze wymaga jakiejś legitymizacji, i takową sama skutecznie aranżowała dla siebie w czasach komunizmu, to tym razem legitymizacji takiej może nie otrzymać. Odkryliśmy też radość płynącą z tego, że oto wyswobodzone z obojętności, w najlepszym tego słowa znaczeniu – *zaangażowane* jednostki zbierają się razem i inicjują wydarzenia. To święto *zbierania się*, rozmowy, wzajemnego wspierania się, znane jako półlegalnie działające Komitety Obywatelskie, było nie tylko świętowaniem, ale przede wszystkim praktykowaniem cnoty solidarności, nie jedynie związkowej, ale ludzkiej i społecznej. I na koniec, pamiętam więc 4 czerwca jako polityczne i praktyczne wcielenie w życie pewnej linii myślenia o społeczeństwie, relacjach między władzą a obywatelem, a nade wszystko o wadze takich pojęć: „demokracja”, „ojczyzna”, „praca”, „wychowanie”, jakie odnajdywałem w niezrównanej *Etyce solidarności* księdza Józefa Tischnera oraz w esejach Jana Patočki, w których mówi się o solidarności jako „braterstwie porażonych” (Tischner) lub „solidarności wstrząśniętych” (Patočka). 4 czerwca 1989 „komuna nie spadła na cztery łapy”; to dzień, który wstrząsnął naszym światem i zmienił go na lepsze.

TADEUSZ SŁAWEK

Szczyście i satysfakcja

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

W sposób naturalny w ostatnich kilku miesiącach wracałem myślami do wyborów 4 czerwca 1989 roku i ich wpływu na moje życie. Trzy zdania przedstawienia się: lat 73, fizyk po UJ, doktorat w 1975 r. w IFITJ AGH, 19 lat pracy w dużym laboratorium badawczym fabryki grafitu w Nowym Sączu. Aktywny społecznie przez całe lata osiemdziesiąte XX wieku (od KIK i NSZZ „Solidarność” po opozycję). Od urodzenia mieszkam w Nowym Sączu.

W wyborach 4 czerwca startowałem jako kandydat Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie wraz ze śp. Prof. Zofią Kuratowską w moim rodzinnym województwie nowosądeckim. Zostałem kandydatem, gdyż w Nowym Sączu przeprowadziliśmy prawybory (unikalne w skali kraju) i ja te prawybory wy-

grałem. Kampania wyborcza była bardzo krótka i trwała niecały miesiąc – polegała głównie na spotkaniach z wyborcami – te spotkania były fascynujące, ale i wyczerpujące. „Zwiedziłem” wówczas całe województwo, jeżdżąc własnym starym Fiatem 125P. Przeciwno sobie mieliśmy cały aparat ówczesnej władzy – PZPR, struktury partii, SB, media, pieniądze – nasza strona miała „tylko” nasz zapał, rosnącą w tempie geometrycznym liczbę zaangażowanych wolontariuszy. Potwierdzeniem tego, że dana osoba jest kandydatem Komitetu Obywatelskiego, był słynny plakat z Lechem Wałęsą (cała drużyna Solidarności – 261 osób – została sfotografowana w Stoczni Gdańskiej).

Wieczór wyborczy spędziłem oryginalnie – na balu w 25-tą rocznicę matury (termin balu był ustalony znacznie wcześniej). ▶

► Mam z tego balu świetne zdjęcie, na którym stoję w otoczeniu kilkunastu koleżanek i każda z nich trzyma w rękach mój plakat wyborczy. Niedzielę 4 czerwca spędziłem w domu – oczywiście idąc głosować. W poniedziałek 5 czerwca nad ranem miałem kilka telefonów od moich mężów zaufania, którzy przekazywali mi informacje ze swoich komisji wyborczych – w każdej z nich było to samo – razem z Zosią wygraliśmy wyraźnie z pozostałymi kandydatami. Pomimo świetnej atmosfery na spotkaniach z wyborcami wcale nie byłem pewien wygranej z dwóch powodów – po pierwsze moim kontrkandydatem na drugie „biorące” miejsce (pierwsze według zgodnej opinii miała zająć prof. Kuratowska) był ówczesny wojewoda sądecki, pomimo związków z PZPR cieszący się dobrą opinią, po drugie obawiałem się, czy Górale zechcą na mnie głosować, zważywszy ich znaną niechęć do Nowego Sącza.

Pamiętam swoją radość, jak zobaczyłem ogólnopolskie wyniki wyborów, z których wynikało, że wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego do Sejmu wygrali, a do Senatu weszło 99 naszych na 100 miejsc. Radość gasiła informacja o frekwencji wyborczej – głosować poszło tylko 62% uprawnionych. Zakładając, że do wyborów poszli wszyscy zwolennicy zmiany systemu politycznego oraz że głosować poszła większość zainteresowanych utrzymaniem władzy przez PZPR – to oznaczało, że ponad 1/3 dorosłych Polaków przyszłość Polski nie interesuje. To był dla mnie szok!

Ostateczne wyniki wyborów do Senatu w naszym województwie okazały się jednoznaczne – Zofia Kuratowska otrzymała ponad 231 tysięcy głosów, ja 205 tysięcy, a mój główny

konkurent tylko 24 552 głosy. Znałem listę kandydatów do Senatu z ramienia KO już przed wyborami i było dla mnie jasne, że jeżeli wygram, to znajdę się w niezwykle ekskluzywnym towarzystwie. Wśród wybranych senatorów było aż 29 osób mających co najmniej stopień naukowy doktora habilitowanego, ponadto 9 osób posiadało stopień doktora. Wśród senatorów były tak znane postacie, jak Gustaw Holoubek czy Andrzej Wajda. Senatorami zostali bracia Kaczyńscy. Następane dni po 4 czerwca były pełne emocji – z jednej strony to radość i dumą, z drugiej strony świadomość, że jestem amatorem w polityce, i obawa, czy dam sobie radę. Pojawiały się też plotki, że przegrana strona może posunąć się do użycia siły na wzór 13 grudnia 1981 r. Na szczęście nic takiego się nie stało i 5 lipca złożyliśmy ślubowanie.

W tamtych dniach wydawało mi się, że potrafię pogodzić pracę w Senacie ze swoją pracą zawodową (a kończyłem wdrożenie – na poziomie półtechniki – niezwykle kompozytu CC) – skończyło się pobytem szpitala i skoncentrowaniem się na pracy w Senacie do roku 1991.

Podsumowując swoje dotychczasowe życie, muszę stwierdzić, że jestem wielkim szczęściarzem – przeżyłem trzy niezwykle wydarzenia (na granicy cudów), które niezwykle mocno wpłynęły na historię Polski – wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża w 1978 r., rewolucję Solidarnościową lat 1980–1981 oraz wybory 4 czerwca 1989 r. Mam też satysfakcję, że utworzyłem z niczego moją Wyższą Szkołę Biznesu – National Louis University, która wygrywała rankingi przez 10 lat i wykształciła ponad 12 tysięcy absolwentów.

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Ślub

Podobno wielu mężczyzn ma kłopoty z zapamiętaniem daty swojego ślubu. Nie ja. Elżbieta i ja wzięliśmy ślub ostatniego dnia komuny, a teraz wystarczy tylko odjąć jeden dzień od daty 4 czerwca 1989.

Dla mnie ta data oznaczała nie tylko wielką – większą, niż ktokolwiek się spodziewał – zmianę polityczną w naszym kraju, ale także olbrzymią zmianę w życiu osobistym. W dodatku byłem wtedy w wojsku jako podchorąży, co z jednej strony uniemożliwiło mi zaangażowanie się w kampanię wyborczą, ale z drugiej mogłem obserwować zmiany polityczne z nietypowej perspektywy. Od początku 1989 roku służyłem w Bydgoszczy, wcześniej byłem w Świeciu nad Wisłą. W Bydgoszczy był wtedy cały kwartał wojskowy, gdzie sąsiadowały ze sobą liczne jednostki. Na terenie tego kwartału, w samych jednostkach i w ich pobliżu, wisiały plakaty kandydatów PZPR i „niezależnych” kandydatów, konkurujących z kandydatami Komitetu Obywatelskiego o miejsca dla opozycji. Pamiętam, że jednym z nich był brat kardynała Józefa Glempa, inżynier Jan Glemb (taka pisownia), dość mocno promowany. Oczywiście w mieście zdjęcia z Wałęsą były. Część kolegów próbowała uczestniczyć w kampanii wyborczej, rozwieszała plakaty Komitetu Obywatelskiego i całkowicie wbrew regulaminowi przypinała sobie znaczek Solidarności do mundurów, za co niektórzy z naszych przełożonych próbowali ich szykanować. W ogóle oficerowie Ludowego Wojska Polskiego czuli się strasznie w tej sytuacji zagubieni. Jeszcze pod koniec 1988 roku na szkoleniach politycznych straszono nas Solidarnością, przygotowywanymi przez nią listami proskrypcyjnymi i współpracą z wrogimi ośrodkami, a kilka miesięcy później trzeba było traktować Solidarność jak

mniej więcej normalnego uczestnika życia politycznego. Z tego zagubienia zapewne wynikało, że szykany, jakie spotykały moich kolegów, nie były szczególnie uciążliwe.

Jednego z moich przełożonych, naszego oficera politycznego, chcę wspomnieć osobno. Otóż kapitan D. tłumaczył nam, że w wojsku wszystko trzeba robić na rozkaz. „Jak będzie taki rozkaz, to ja nawet z wojskiem do kościoła mogę pójść, a jak nie będzie, to nie pójdę. I wy tu, podchorążowie, nie będziecie tego a tego robić, jeśli nie będzie rozkazu”, mówił. Jestem przekonany, że rok, dwa lata później D. bardzo gorliwie chodził z wojskiem do kościoła, nawet bez wydanego wprost rozkazu. Chodził, a nawet siadał w pierwszych ławkach. Taki typ człowieka.

Żeby wziąć ślub i móc głosować w wyborach, musiałem dostać urlop. Zostałem więc krwiodawcą, bo za każdą porcję oddanej krwi przysługiwał dzień urlopu, który w dodatku można było wziąć w dowolnym terminie. Uciałem bodaj tydzień, ale to mi wystarczyło.

Po weselu poszliśmy do domu. Głosowaliśmy dopiero po południu, już przebrani, choć Elżbieta później żałowała, że nie poszła do wyborów w sukni ślubnej. Moja mama z kolei żałowała, że ze względu na nasz ślub, nie mogła zostać mężem zaufania Komitetu Obywatelskiego, choć jej to proponowano. A następnego dnia słuchaliśmy napływających wyników: Prawie wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego zostali wybrani, prawie nikt z kandydatów PZPR i stronnictw sojusznicznych nie został, lista krajowa padła. W Warszawie przegrał Jerzy Urban, brat prymasa też przepadł. Jeszcze nikt nie rozumiał, co z tego wyniknie, ale to, że głosujący wypowiedzieli się przeciwko istniejącemu systemowi, było zupełnie oczywiste.

PAWEŁ F. GÓRA